

Michalski, Jerzy

W odpowiedzi - Beauvois, Daniel.
Społeczeństwo w potrzasku.
"Kwartalnik Historii Nauki i Techniki"
nr 2 (1988), s. 445-452

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 24/r2, 453-460

1979

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Jerzy Michalski

(Warszawa)

ODPOWIEDŹ PROFESOROWI DANIELOWI BEAUVOIS

Uwagi prof. Daniela Beauvois w związku z moją recenzją jego dzieła wymagają wyjaśnień. Mam nadzieję, że przyczynią się one do lepszego zrozumienia i zbliżenia naszych poglądów w sprawach, w których recenzja moja wywołała zastrzeżenia autora.

Nie mogłem „mieć za złe” autorowi zafascynowania bogactwem materiału źródłowego, bo jest to zjawisko naturalne, jakże często występujące u historyków. Wystarczy wskazać tak znakomitego badacza jak Władysław Konopczyński, który przeprowadziwszy imponującą kwerendę źródłową do dziejów konfederacji barskiej niedostatecznie czasem wykorzystał stare (i oczywiście dalekie często od poprawności) publikacje źródłowe. W związku z tym nie postawiłem autorowi zarzutu, jak on to formułuje, iż „powołuje się wyłącznie na źródła rękopiśmienne w sprawach znanych z dawniejszych opracowań”, lecz napisałem, że „zdarzają się też wypadki, iż autor powołuje się”... itd. Zasadnicza różnica między tymi sformułowaniami jest chyba ewidentna. Aby zaś nie być gołosłownym podałem jeden przykład ze str. 304. Ale można było podać ich więcej, chociażby z następnej stronicy, gdzie ustęp o odkryciu przez Jędrzeja Śniadeckiego rzekomego pierwiastka *vestium* dokumentuje przypis 109: „Sur le vestium cf. lettre du 24 mai 1808, B. Czart. Ew. 3069”. Jakież czytelnik nieobznajmiony z zagadnieniem (zwłaszcza czytelnik francuski) domyśli się, że temat ów ma liczną literaturę przedmiotu. Na str. 243 autor omawia pensus dydaktyczne profesorów powołujących się w przypisie na źródła archiwalne: list kuratora Czartoryskiego, spis wykładów z 1824 r. A przecież J. Bieliński w swej monografii o Uniwersytecie Wileńskim opracował wykaz wszystkich wykładów z podaniem dni i godzin dla całego okresu istnienia tej uczelni.

Odnoszę wrażenie, iż autor uważa zdanie moje o niedostatecznym wykorzystaniu literatury przedmiotu za mało uzasadnione, skoro w jego pracy cytowane jest 396 pozycji, a ja dorzucam do nich dwie, a co do dalszych dwóch (Szantyra i Nowodworskiego) to autor twierdzi, że wymienił je „kilkakrotnie”. Po pierwsze jednak autor niesłusznie rozszerzył zakres mojego twierdzenia. Napisałem bowiem, że literatura przedmiotu „nie z a w s z e” została dostatecznie wykorzystana. Po drugie, jeśli chodzi o pracę Nowodworskiego, to nie twierdziłem, iż autor jej nie znał, tylko że jej nie wykorzystał, gdy pisał o latach studenckich rektora Józefa Twardowskiego, przez co ustęp ten zawiera istotne pominięcia. Np. wspominałem tam również o niewykorzystaniu pracy Erdmanowej-Jabłońskiej. Sądziłem i sądzę, że autor nie znał monografii Szantyra o Grodsku, gdyż śladu jej znajomości nie ma w jego dziele, a *passus*, w którym „wymienia” tę monografię brzmi: „Les articles de M. Plezia... s'appuient sur les travaux antérieurs de Węclewski, Oko, Szantyr, Sinko”.

Nie chciałem w recenzji mnożyć pedantycznych pretensji wobec autora, który pracując częściowo poza Polską zdobył imponujące odczytanie w naszej literaturze naukowej, ale widzę, że muszę się wytłumaczyć, że nie formułuję sądów gołosłownych. Niech mi więc wolno będzie dorzucić, że autor nie okazał znajomości ważnego stadium K. Modelskiego *Sprawa powołania J. Lelewela na katedrę historii w Wilnie*. Nie zauważyłem też śladów wykorzystania dzieła J. Francewa *Polskoje Stawjanowiedienije* jeśli chodzi o osobę, a zwłaszcza podróże stypendialne Michała Bobrowskiego. W ogóle omawiając sprawę wysyłania stypendystów za granicę autor cytuje w przypisach wyłącznie źródła (wyjątkiem jest praca K. Bartnickiej), tak jakby na ten temat nie było żadnych ustaleń w literaturze naukowej. Zubaża to oczywiście problematykę. Pisząc o nauczycielskich perypetiach Mickiewicza w Kownie odsyła jedynie do kilku fragmentów wydanej drukiem korespondencji Filomatów, mimo, że istnieje obfita literatura przedmiotu. Podobnie (choć to mniej istotne) nie cytowane są inne prace mówiące o ówczesnym szkolnictwie średnim: A. Dunajówny — o latach szkolnych Zana, Z. Brensztajna — o Sobolewskim. Przykładów takich można by podać więcej.

Autor nie zrozumiał moich uwag o „punkcie obserwacyjnym”. Nic nie ma to wspólnego z pojęciem „longue durée”, pisałem zaś o czynnikach wyeliminowanych przez ewolucję historyczną, a nie przez autora. Postulowane przez mnie porównanie z całością ziem dawnej Rzeczypospolitej miałyby na celu uzmysłowienie (zwłaszcza czytelnikowi francuskiemu), że warunki rozwoju uniwersytetu i szkolnictwa polskiego w Okręgu Wileńskim były lepsze niż w innych zaborach, a pod pewnymi względami nawet niż w Księstwie Warszawskim, Królestwie Polskim czy w Krakowie. Ta właśnie sprawa wiąże się z moją opinią o zbyt drammatyzowaniu przez autora sytuacji tego szkolnictwa i perspektyw studiującej w nim młodzieży. Tworzenie się warstwy inteligencji zawodowej było procesem, który w czasach Uniwersytetu Wileńskiego dopiero się zaczynał, a rozwijać się miał przez całe stulecie. Na całym terytorium dawnej Rzeczypospolitej napotykał (niezależnie od niesprzyjającej sytuacji społeczno-ekonomicznej) na trudności wynikające z faktu rozbiorów. Ponadto tworzenie owej inteligencji zawodowej nie było wyłącznym celem uniwersytetu. Chyba również ważnym i w zasadzie właśnie nowym zjawiskiem były studia wyższe młodzieży z warstw uprzywilejowanych ale ten problem autora nie interesował i problematykę społecznych zadań uniwersytetu sprowadził do możliwości wytworzenia inteligencji zawodowej i to jako grupy zwartej i solidarnej, obdarzonej silną świadomością swej odrębności i swoich interesów, mającej zapewnioną drogę kariery i materialnej stabilizacji. Otóż takie właśnie widzenie celów i pożądaných skutków uniwersyteckiej edukacji wydaje się dla tej epoki anachroniczne; to więc, że edukacja ta w Wilnie skutków takich nie przynosiła, nie stanowiło przejawu jakiejś specyficznej sytuacji.

Dobrym przykładem rozumowania autora są fragmenty jego repliki na moją recenzję, dotyczące malarzy wykształconych na Uniwersytecie Wileńskim. Na poruszone tam kwestie można odpowiedzieć, że malarze ci nie tworzyli rzemieślniczego cechu, nie żyli więc tak, „jak malarze od wieków”. Może wskutek tego byli grupą mniej spójną, ale ich poziom ogólnokulturalny znacznie się podniósł, nabrali więc cech zbliżających ich, czy też kwalifikujących do grupy inteligencji. Studia

z pewnością nie dawały im „pewności jutra”, ale tej pewności nie mieli początkujący malarze w całej Europie i to nie tylko w pierwszej połowie XIX w. Byli to artyści średniej i małej miary, znajdowali zatrudnienie częściowo jako nauczyciele rysunków w szkole, udzielali lekcji prywatnych i szukali zarobków, tak jak szukali ich malarze w innych krajach. Nie sądzę, aby „cała ich twórczość zależała od tradycyjnego mecenatu różnych panów”, bo takiego mecenatu *sensu stricto* nie było na większą skalę. A że obrazy kupowali ludzie raczej zamożni, to było zjawiskiem powszechnym, a nie specyfiką czasu i miejsca.

Podobnie ma się rzecz w sprawie kształcenia architektów. Autor uważa, że niesłusznie przypisuję mu pogląd, iż wykłady K. Podczaszyńskiego były bezużyteczne. Ale jak inaczej mogłem rozumieć retoryczne pytanie: „si grand que soit le talent de Podczaszyński, que peut-il faire si l'université ne crée pas de diplôme d'architecte”, którym autor skwitował problem kształcenia zawodowych architektów? Zwróciłem uwagę na to, że bez zapoznania się z ówczesną praktyką nadawania uprawnień i wykonywania zawodu oraz bez prześledzenia losów absolwentów studiujących architekturę, nie można formułować zdecydowanych sądów. Nie widzę racji lekceważenia świadectwa profesora Z. Rewkowskiego (jednego ze słuchaczy Podczaszyńskiego) o tym, że z Uniwersytetu „wyszło wielu dobrych architektów”. Nie było to jakieś zjawisko masowe, nie dostępne obserwacji pamiętnikarza. Nie mamy też powodów sądzić, że kłamał, gdyż do Podczaszyńskiego odnosił się z krytyczną rezerwą, nie wypisywał więc mu jakichś panegiryków. Rewkowski pisząc pamiętniki nie miał obowiązku, ani potrzeby przytaczania materiałów dowodowych; ich brak nie jest więc przejawem gołosłowności twierdzeń. Stając na stanowisku autora odrzucić by należało ogromną większość świadectw pamiętnikarskich. A to, że w wypadku ówczesnych architektów (np. nie wydaje się by autor na ich temat rozporządzał jakąś konkretną wiedzą („nie mamy do czynienia z zawodem współczesnym”, to rzecz oczywista, ale czy na innych terenach poza Okręgiem Wileńskim istniały już takie „współczesne” stosunki?

Autor kategorycznie twierdzi, że poza lekarzami, księżmi i nauczycielami nie było w Okręgu Wileńskim żadnych zawodów inteligenckich i upatruje w tym przejaw wyjątkowego braku perspektyw dla absolwentów tamtejszego uniwersytetu. Należałoby więc przypomnieć, iż to, że Uniwersytet Wileński kształcił zawodowo przede wszystkim księży, lekarzy i nauczycieli nie było niczym specyficznym. Takie właśnie w zakresie kształcenia zawodowego były zadania fakultetów: teologicznego, medycznego i filozoficznego (tam gdzie przestał on być wstępem do pozostałych) na wszystkich uniwersytetach wówczas i długo potem. Sprawa akademickiego kształcenia cywilnych techników, agronomów, handlowców i artystów wszędzie była jeszcze w stadium projektów i nierozwiniętych na większą skalę prób. Jedynie co do wydziału prawa i jego absolwentów zachodziła zasadnicza różnica w porównaniu z krajami, w których studia prawnicze wymagane były do określonych stanowisk w sądownictwie i administracji państwowej. Czy jednak studiujący prawo na Uniwersytecie Wileńskim nie mieli żadnych perspektyw zawodowych przed sobą? Autor sądzi, że nie, gdyż formalnych wymogów wykształcenia nie było, a urzędy miejscowe były „zmonopolizowane przez szlachtę”. Co to znaczy? Czy chodzi o przynależność stanową czy o społeczno-majątkowy status ziemiański? Przecież i nauczyciele w dominu-

jącej większości byli szlachtą, tak zresztą jest szlacheckiego pochodzenia byli przeważnie słuchacze Uniwersytetu. Istniały oczywiście stanowiska zbliżone swym charakterem do urzędów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej szlacheckiej, wiele elementów dawnych zachowała palestra, choć i tu zachodziły zmiany. Czy jednak urzędnik takiej czy innej kancelarii musiał być *bene natus et possessionatus*? Był on człowiekiem wykonującym pracę umysłową i za nią płatnym. Nie stosowano cenzusu wykształcenia, ale przecież i w Królestwie Polskim po 1831 r. poważny odsetek urzędników nie miał nawet pełnego wykształcenia średniego, a o wiele mniejszy procent legitymował się studiami wyższymi. Mimo to ludzi tych zalicza się do inteligencji. Stąd i w Okręgu Wileńskim różne szczeble nauki szkolnej i uniwersyteckiej nie zakończonej i nie uwieńczonej dyplomem, w praktyce mogły wystarczyć do pełnienia funkcji wymagających pewnych kwalifikacji umysłowych. To samo dotyczy niektórych grup oficjalistów prywatnych. To właśnie byłoby jedną z przyczyn skonstruowanego przez autora zjawiska bardzo często niekończenia studiów wyższych, a również i średnich. Nie musiało to oznaczać że ludzie ci całkowicie zmarnowali swój trud. Zapewne w aparacie urzędniczym popyt na ludzi z wyższym wykształceniem był niewielki i z kolei dla nich posady te mogły być atrakcyjne, stąd szukanie ich w Królestwie Polskim czy Petersburgu. Znamy jednak nazwiska absolwentów Uniwersytetu Wileńskiego pracujących na stanowiskach urzędniczych na miejscu.

Jeśli wspominałem o gubernatorach cywilnych to tylko dlatego, żeby uprzytomnić stopień polonizacji aparatu administracyjnego w tzw. guberniach zachodnich, co autor czytelnikowi (zwłaszcza francuskiemu) winien był uświadomić, a nie pisać (s. 560), że aparat ten obsadzony był wyłącznie przez napływowy element rosyjski. Zaniepokoił mnie też fakt zrusyfikowania przez autora nazwiska Grocholskiego.

Pisząc w replice o „bezinteresownej tradycji szkolnictwa polskiego w. XVIII” autor bardzo zmiękczył swoje sformułowanie, tłumaczące powody liczego napływu młodzieży na Uniwersytet Wileński. Przypomnę to sformułowanie: „seule la vieille tradition polonaise des Lumières, profondément ancrée dans la mentalité nobiliaire, devenue presque instinctive, a pu amener ces jeunes gens en ce lieu (tz. na Uniwersytet) qui ne débouche sur rien”. Otóż po pierwsze, błędem jest twierdzenie, że szlachta polska z terenów późniejszego Okręgu Wileńskiego zdawna przesiąknięta była ideologią Oświecenia, po drugie wystarczy porównać frekwencję na przedrozbiorowej Szkole Głównej Litewskiej i na porozbiorowym Uniwersytecie Wileńskim (pisze o tym sam autor na s. 314—315), żeby stwierdzić, że zainteresowanie szlachty wyższymi studiami było zjawiskiem nowym. A że na frekwencję tę wpływały czynniki bardziej realne, niż zakładany przez autora „zakorzeniony w Polsce i nieokreślony prestiż wiedzy”, wskazywać może szczupła liczba słuchaczy Uniwersytetu Krakowskiego, czego powodem były nie tylko utrudnienia władz rozbiorczych, ale i przekonanie, że dyplom krakowski nie wiele daje korzyści praktycznych.

Zgodziłbym się z autorem, że społeczeństwo polskie — a w nim i młodzież studiująca — znajdowało się „w potrzasku”, bo tak było na ziemiach wszystkich zaborów, ale w książce swojej napisał on, że to Uniwersytet Wileński był pułapką czy też potrzaskiem („l’université est une souricière”), ponieważ zdaniem autora nie mógł dawać i nie dawał tego, co dawać powinien. Sądzę, że poprawnie oddałem charakterystykę autora sądowej autonomii uniwersyteckiej jako instytucji „śmiesznej”.

Oto zdanie stanowiące kontekst: „Le droit de justice interne paraît bien dérisoire, il ne concerne que quelques délits de dettes, comme celles de Groddeck, mais pour le reste, il est inutile ou bafoué” (s. 153). Przez myśl mi nie przeszło, żeby autor traktować miał Uniwersytet pogardliwie, chodziło mi tylko o obiektywną rolę autonomii uniwersyteckiej. Niech mi więc wolno będzie, odwołać się do wspomnień Władysława Baranowskiego ze studiów na Uniwersytecie Dorpackim w najgorszych czasach ery Mikołaja I, aby wskazać, że autonomia taka (przy zaufaniu do zasadniczej lojalności tej niemieckiej uczelni) mogła stworzyć pewną — oczywiście ograniczoną — oazę względnej swobody.

W recenzji nie określiłem „reformatorów” jako postępowych i w ogóle nie jestem zwolennikiem absolutyzowania pojęcia „postępowy”, po prostu zauważyłem, że autor sprawy „reformatorów” i ich programu w swej pracy nie uwzględnił. Zwróciłem też uwagę, że popieranie kierunku zawodowego czy też tzw. realnego w nauczaniu nie może być utożsamiane z tendencjami reakcyjnymi, jakkolwiek niektórzy reprezentanci tych tendencji popierali ów kierunek. Czy rzeczywiście w okresie Świętego Przymierza wszelkie nowości na uczelniach miały charakter obskurancki? Czy opracowanie brakujących podręczników i zastąpienie dawnych nowymi było wyłącznie przejawem serwilizmu wobec Nowosilcowa i również obskurantyzmu? Podobno podręczniki matematyczne Wyrwicza miały duże walory dydaktyczne. A czy gramatyki Kopczyńskiego, narzucane w swoim czasie z takim uporem szkołom przez Komisję Edukacyjną, były rzeczywiście dobre? Ich stronę merytoryczną podał przecież wtedy właśnie krytyce Mroziński. Nb. popowstaniowy *Katechizm ku czci cesarza* nie ma nic wspólnego ze sprawą „reformatorów”, a również i działalność Bobrowskiego po usunięciu z Uniwersytetu w 1824 r. to rzecz odrębna. Nie można też jak czyni autor, utożsamiać prądów neohumanizmu oraz wzmacniania roli języków i literatur starożytnych z obskurantyzmem i reakcją. Czy osiemnastowieczne schematy myślowe trwać miały wiecznie i czy ich zachowywanie miało stawiać wyżej szkolnictwo wileńskie od niemieckich gimnazjów filologicznych? W związku z tym nie wydają mi się przekonujące argumenty autora, iż popieranie przez Czartoryskiego określonych zmian w nauczaniu uniwersyteckim i szkolnym świadczyło, iż był on propagatorem kursu reakcyjnego. Obawy zaś przed „złem” z uniwersytetów niemieckich (tzn. związkami młodzieży) żywili przede wszystkim starzy „oświeceniowi” profesorowie jak np. S. B. Jundziłł... Nie wiem, dlaczego autor uważa, że ziemiaństwo J. Twardowskiego miała być sama w sobie dowodem, że reprezentował on reakcyjny kurs. W. Pelikan był profesorem i to dość demokratycznego pochodzenia, a właśnie on i paru podobnych mu kolegów, a nie ziemianin Twardowski, zyskali zaufanie Nowosilcowa i stali się jego narzędziami.

Nie stawiałem postulatu pełnego przytaczania artykułów z *Polskiego Słownika biograficznego*, co byłoby nonsensem, stwierdziłem tylko, że gdyby autor sięgnął do tego informatora, uniknąłby kilku oczywistych pomyłek. Nie pisałem, że autor mówi o „przewadze literatury i historii wśród przedmiotów wykładanych na uniwersytecie”, tylko stwierdziłem, że niesłusznie imputuje taki pogląd „historiografii polskiej” i że nie trzeba odkrywać rzeczy znanych. Wiadomo, że specjalizacje w wielu dyscyplinach nie były wówczas ostre i że profesorowie i adiunkci zmieniali nieraz przedmioty wykładu, ale o tym autor w swej pracy nie pisał, popełnił tylko kilka oczywistych omyłek i to w faktach dość elementarnych. Robi taką omyłkę i w replice, gdyż przy angażowaniu Jana Piotra

Franka przewidziano dla jego syna Józefa katedrę patologii ogólnej, a nie terapii szczegółowej związanej z prowadzeniem kliniki. M. Homolicki, po śmierci Miskowskiego chwilowo objął część jego zajęć, tj. wykład chirurgii teoretycznej. W tak krótkim zarysie, jaki dał autor w swojej pracy, nie było potrzeby o tym szczególe wspominać, ale przede wszystkim nie należało przedstawiać tego, jako objęcia na lat 10 chirurgii: „á la mort de Nizskowski, en 1816, elle (katedra chirurgii) est reprise part... Homolicki, qui se retieren 1827”.

Pisząc o stosowaniu pojęcia „cieplik” autor utożsamiał go z flogistone-m. Zwróciłem więc uwagę, że błąd ten może wywołać mniemanie, że w Wilnie wyznawano jeszcze teorię flogistonową, co byłoby (nie teoria „cieplika”) dowodem zacofania. Nie bardzo pojmuję, co autor rozumie przez „oficjalne przyjęcie przez Uniwersytet teorii Adama Smitha, co miało dokonać się dopiero w 1829 r. W *Zagajeniu sesji publicznej Uniwersytetu dnia 30 czerwca 1811*, rektor Śniadecki stwierdzał: „otworzona oddzielna nauka ekonomii politycznej, w której krótki wykład teorii Smitha nauczyciel dla pożytku uczniów na jaw publiczny wydał”.

Autor istotnie na trzech stronach omawia działalność Grodka na Uniwersytecie, ale nie pisze ani o środowisku naukowym, z którego wyszedł ten uczony, ani o jego pracach, ani o jego poglądach naukowych, a więc o tym „co naukowo reprezentował sam Grodek”. Nb. nie rozumiem, co to znaczy „definitywna monografia” i czy coś takiego może istnieć w nauce? Co do relacji „bliżej nieznanego kapitana Martensa”, to autor rzeczywiście pisze (s. 348 i 407) o próbie Nowosilcowa powierzenia wykładów nauki wojskowości na Uniwersytecie kapitanowi Martensowi (nb. pisał o tym i Bieliński, myląc datę, ale podał interesujące szczegóły nie uwzględnione przez autora). Czytelnik nie ma jednak pewności, czy to ten sam Martens, którego fragment listu do generała Różycckiego(?) z 29 IX 1831 r. autor przytacza na s. 240—241. Nie wiemy przytym, w jakich okolicznościach i w jakim celu — w momencie klęski Powstania Listopadowego — ów Martens pisał na temat wileńskiej biblioteki uniwersyteckiej. W czasach powstania i po nim istniała skłonność do przesady w opisach represji Nowosilcowa, zwłaszcza mógł to robić człowiek (o ile był to ten sam człowiek), który niegdyś cieszył się jego protekcją, a teraz był w jakichś związkach z jednym z generałów powstańczych. Póki tego wszystkiego nie wiemy, nie możemy zaufać tej relacji.

To, że pojęcie filozofii nie jest takie samo w średniowieczu i w epoce Oświecenia nie zmienia faktu, że nazwą Wydział Filozoficzny zgodnie z tradycją oznaczono wydział nauk fizycznych i matematycznych, jako wywodzący się z niego. Obowiązująca w Wilnie ogólnorosyjska ustawa o „stopniach Uczonych” z 1819 r. do fakultetu filozoficznego zaliczała wydział nauk fizycznych i matematycznych. Zresztą nazwa wydział filozoficzny funkcjonowała na uniwersytetach bardzo długo (np. na Jagiellońskim do 1945 r.) i żadnych z tego wniosków co do rozumienia pojęcia *filozofia* wyciągać nie można.

W recenzji zwróciłem uwagę na błędną wzmiankę o sejmie grodzieńskim (nie o Katarzynie II, jak teraz pisze w replice autor) gwarantującym zachowanie polskich instytucji szlacheckich po rozbiorach. Zapytywałem w recenzji, na czym autor opierał twierdzenie o przejściu gubernii wołyńskiej i podolskiej do Charkowskiego Okręgu Naukowego w 1824 r. W replice czytamy, że przyłączone zostały one tam „teoretycznie”, ale w dalszym ciągu nie wiemy, skąd ta wiadomość. O. Kopczyński

w swoich wywodach opierał się na zasadach gramatyki łacińskiej i dawał krótko ujęty jej zarys. W zasadzie i w pojęciu samego Kopczyńskiego była to gramatyka języka polskiego. Opisane przez autora zachowanie się Łuczewskiego zdają się wskazywać na rzeczywiste zaburzenia psychiczne, tzw. urojenia posłannictwa.

W niniejszej odpowiedzi powtórzyłem moje uwagi krytyczne i starałem się rozszerzyć ich uargumentowanie, chcąc przekonać autora i czytelników, że gdy formułowałem je w recenzji, robiłem to z poczuciem odpowiedzialności za słowo, szczególnie obowiązującej wobec pracy uczonego cudzoziemskiego, który włożył wielki trud w zdobycie szerokiej znajomości naszej problematyki historycznej i badaniami swymi dał poważny wkład w jej poznanie. Nie potrzebuję chyba przypominać, że uwagi te — choć zajęły dużo miejsca w recenzji — nie mogą przesłaniać podkreślonych w niej walorów dzieła Daniela Beauvois, górującego ilościowo i jakościowo nad sprawami budzącymi zastrzeżenia i uwagi dyskusyjne.

